

Godzina ziaren piasku

„Zmęczył mnie język, jak twardy zlepek.
Jestem jak człowiek, co lampy pszerosł.
Na skrzyżowańu dwuh wrogih epok
stoję, cyńicznie gryząc papieros.”

Bruno Jaśeński

Ciało nabrzmiało, napłynęły soki nędzy.
Zmęczył mnie język — ten ojczysty
i ten, co nie odczuwa już żadnego smaku.
Z głodu podgryzam granitowy papieros.

Moje ciało to twardy zlepek bez rąk.
Salus aegroti suprema lex — mówię —
pozbawiając się zmysłu wzroku i serca,
odmawiając sobie boskokobiecej troski.

Wiem, że Pan Buk, cały spocony,
przypala swoje posiwiące liście żelazkiem.
Wierzę, że Bóg jest podobny do gołębicy
skrzyżowanej z kapustą na rzecz gołąbków.

Moje ciało jest gorącym reaktorem nocy,
redaktorem futurystycznej jednodniówki.
Nirwana zawiera się w białym świetle krzyża.
Prawdziwy Ból rośnie pod paznokciami.

Moje ciało wiecznie zagrożone poparzeniem
słonecznym i koniecznym o 17:00 —
kiedy zaczyna się godzina ziaren piasku,
kiedy kurz staje się ciałem.

Wiersz jak wiersz

Od dawna nie widać już srebrnych ryb,
pływających w powietrzu; są
tylko ściany brudne jak wiersz.
Jest tylko szept, ten nieprawdziwy
cień za rogiem, przy drzwiach.
Jego słowa nic nie znaczą
jak nagie ciało.

Nagie ciało nudne jak wiersz, życie
od podniecenia do obrzydzenia,
życie od niechcenia do upadku.

Miłość koniecznie trudna jak wiersz,
wszystko koniecznie takie jak wiersz.
Śmierć jak dzień, w którym nadchodzi
koniec terminu. Deadline jak śmierć.
I wiersz jak śmierć, wódka to raczej poemat;
taki, co się kończy zaśnięciem przez lęk.

Wiadomość do piekarni

Nie jestem naga,
nie jestem rytmiczna
– jestem chlebem
w sukience.
Powtarzam: jestem chlebem w sukience!

Nie mam piersi – nie noszę
bielizny,
nie można mnie z powrotem zamienić w mąkę
ani oddać do sklepu.

Utknęłam poecie w gardle;
próbował pobić, potem popić mnie
wódka – bezskutecznie.

Dlatego napisał książkę
o chlebie
i o mojej czarnej sukience.
– A co ja mogę?
Zapakować chleb w siatkę,
odkochać się, odgryźć
kawałek?

Jestem chlebem w sukience,
powtarzam: jestem chlebem w sukience!
Przeżyłam poetę
i już teraz wiem,
że przeżyję poetę.

Chwała

Twoja skóra głośna na głębokość morza.
Chciałbym, niewidzialna kobieto, wzrokiem

Cię roztopić na głębokość łez. Schować
Pod powiekę. Moim wzrokiem — rysą

Na ślepej soczewce. Jesteś mi przecież
Jednoosobowa. Przeze mnie, od ramion

Do kostek moja. Rodzaju sennego.
Zapadnięta na głębokość nas.

Wierszyk (nie)oczyszczający

„aż dziwne
że tu bywają cisze i luzy”
Miron Białoszewski

Aż dziwne,
czasem da się oddychać.
Można próbować
uciekać
przez cisze i luzy,
przez szparę, w której Poeta
próbował się schować,
przez szparę, *Której nie było*.

Aż dziwne,
że da się uporządkować świat,
leżąc i nie patrząc w lustro.
Jednak to przemija –
występuje niestałość różnicy.

Wszystko się w końcu przepoci –
ręka się zmęczy, a wyrazy
staną się *ń.e.e.e.e.e.e.czytelne*.
¿Świat jest nieczytelny?

Przecież są – cisze – luzy – jak półpauzy,
są sinusoidalne szczyty,
człowiecza alias zwierzęca natura,
jedna noga zatopiona w słońcu,
druga przybita do krzyża.
Brudny homo.